

Umarła klasa

© Jan Hartman - profesor filozofii z Uniwersytetu Jagiellońskiego

Magazyn Wyborczej, Gazeta Wyborcza, 10 maja 2013

https://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,13885836,Umarla_klasa.html



(Rys. Jacek Gawłowski)

Umarła klasa

Pojęcia, z jakimi wypuszcza się naszą młodzież w świat, mają się tak do współczesnego stanu ducha jak XVII-wieczne postscholastyczne gimnazja jezuickie do życia umysłowego w kręgach Galileusza i Kartezjusza. Tego się nie da zreformować. To trzeba po prostu zamknąć

Mówi się, że szkoły i uczelnie uczą nieważnych i niepraktycznych rzeczy, a w dodatku robią to źle. Z tego powodu absolwenci nie mogą znaleźć pracy lub znajdują marną, bo pracodawca młodych nie szanuje. Wolałby zamiast lewych magistrów prawych majstrów. Inni mówią, że te tłumy magistrów mają mimo wszystko dużą przewagę nad niemagistrami, odbierając im wszelkie szanse.

Wszystko to są półprawdy. Relacje między jakością kształcenia i rynkiem pracy są bardzo złożone. I bynajmniej nie jest tak, że im lepiej wykształcona jest młodzież, tym większe są jej szanse na zatrudnienie. To działa wyłącznie indywidualnie, natomiast w skali społecznej, czyli statystycznie, zależność taka, jeśli w ogóle istnieje, to tylko w długiej perspektywie czasowej. Generalnie jeśli nie ma roboty, to nie ma, choćby wokół byli sami wielcy specjaliści. A jak robota jest, to pracodawca sam zadba, żeby ludzi jej nauczyć. Szkoły i uczelnie nie są winne bezrobocia.

Ich winą jest co innego - to, że są tym, czym są. Kiedyś będą musiały zniknąć, jak każdy anachronizm.

Szkolnictwo powszechne w obecnym kształcie jest XIX-wiecznym przeżytkiem. Kulturowym i

politycznym. Jeśli działa do dziś, to tylko mocą biurokratycznej inercji i obezwładniającej hipokryzji. Machina szkolna produkuje bowiem nie tylko zastępy nauczycieli, urzędników oraz, rzecz jasna, absolwentów szkół, lecz również narkotyzującą propagandę własnych sukcesów i "chwałę resortową".

Zupełnie jak ongiś w Prusach czy innej carskiej Rosji. Machina szkolna kontrolująca programy, proces nauczania i weryfikacji wiedzy uczniów nastawiona jest na dowodzenie, że wszystko jest pod kontrolą, a edukacja daje zadowalające wyniki. Tymczasem jeśli testy kompetencji uczniów pokazują, że nie jest źle (na tle innych krajów), to tym gorzej dla tych testów. Bo każdy, kto ma styczność z młodzieżą, wie przecież aż za dobrze, jak zatrważająca jest jej ignorancja, i to pomimo spektakularnych osiągnięć nielicznych szkół i nielicznych uczniów.

Rozenia o efektach kształcenia mają tyle wspólnego z rzeczywistością co sen pijanego szaleńca. Przeciętny absolwent liceum nie wie ani połowy tego, co zakładają sobie programiści w odniesieniu do absolwenta szkoły podstawowej. Po pięciu latach studiów osiąga w zakresie wiedzy ogólnej standard być może odpowiadający profilowi absolwenta gimnazjum, choć i w to wątpię.

Zresztą nie ma czego żałować, bo program naszych szkół to breja ulepiona z przypadkowych i mało pożywnych składników.

Miliardy idą na nauczanie matematyki, a skutek jest taki, że społeczeństwo zna dosłownie cztery działania i nic więcej. O fizyce lepiej nie wspominać. Żadne wiadomości z chemii, biologii czy geografii również nie zostają w naszych głowach. Cokolwiek by się tam zresztą znalazło, to i tak wyparuje stamtąd po kilku miesiącach, gdyż są to wiadomości nad wszelki wyraz obojętne i nieprzydatne - nie czynią nas mądrzejszymi ani nie ułatwiają życia.

Sir Ken Robinson: "Zrewolucjonizujemy nauczanie!" (film na YT <https://youtu.be/psmVhh41h-k>)

Mówię "my", bo sam nie mam żadnego minimum wiedzy szkolnej. Nigdy nie czułem żadnej więzi z tym curriculum wymyślonym w większości przez zarozumiałych pozytywistów sprzed stu lat wierzących, że dostarczenie ogółowi podstaw wiedzy naukowej (tak jak ją sobie wtedy, bardzo naiwnie, wyobrażano) zastąpi kulturę i prawdziwe wykształcenie. Szkoła wciąż jest zakładniczką tego pozytywistycznego i scjentyistycznego szaleństwa oraz programów rodem z XIX wieku opartych na prymitywnym światopoglądzie, zgodnie z którym istnieją kwestie naukowe (oczywiście wyłącznie empirycznej natury), a poza tym jeszcze wiara, uczucia patriotyczne i sztuki piękne. I koniec. Ma być postęp (dziś zwany rozwojem) i elektryfikacja! Żadnych tam filozofii i innych zabobonów. Te programy i ta prostacka filozofia są jak bios w komputerze - żadne nakładki nie zmieniają istoty rzeczy. Z dekady na dekadę

wszystko to staje się coraz bardziej absurdalne i groteskowe, a ideologia szkolna, czyli pojęcia, z jakimi wypuszcza się naszą młodzież w świat, ma się tak do współczesnego stanu ducha jak XVII-wieczne postscholastyczne gimnazja jezuickie do życia umysłowego w kręgach Galileusza i Kartezjusza. Tego się nie da zreformować. To trzeba po prostu zamknąć.

Uczenie się odłamków dawnej fizyki pomieszanych z filisterską antologią literatury i mało pouczającymi wiadomościami z historii wojen i dynastii w propagandowym sosie to istna siewka, którą każdy zdrowy mózg przymuszony do tego wchłania na krótko i wydalą czym prędzej, co i ja chętnie uczyniłem.

Szkolna rupiecarnia nic dla mnie nie znaczy i wątpię, bym znał profesora, który właśnie w niej miał fundament swojego wykształcenia i swojej uczoności. Wolę nawet nic niewiedzących studentów niż tych pilnych, którzy wynieśli ze szkoły jakąś pulpę złożoną z elementów wiedzy naukowej zmieszanej z potworkami wyprodukowanymi przez dydaktyzację, z przesadami i z kołtuńską propagandą na miarę ćwierćinteligenta.

Bo szkoła jest - i zawsze była, i zawsze będzie - bastionem drobnomieszczaństwa i filisterstwa, wszelkiej dulszczyzny i oportunisty. Co gorsza, szkolne kołtuństwo stroi się na jakąś komiczną przemądrzałą uczoność opartą na małpowaniu krytycznej i dojrzałej refleksji, z której wywodzą się nauki humanistyczne. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, gdy w tych przybytkach miernoty i zakłamania, jakimi są szkoły, namiętnie omawia się ni mniej, ni więcej, tylko "Moralność pani Dulskiej", "Ferdydurke" i inne satyry na ów świat, w którego samym centrum tkwi właśnie szkoła. Cóż za przewrotność! Gombrowicz lekturą szkolną!

Zupełne i wszechobejmujące upupienie wszystkiego, łącznie z Gombrowiczem, wytwarza społeczeństwo zarozumiałstwa sprzęgniętego z bezbrzeżną obłudą. Cały świat, cała kultura zamienione w materiał i program są hurtem i bez wyjątku udostępnione i jako takie odarte z wszelkiej tajemniczości i czci. Kaganek oświaty wszystko oświecili ku młodzieży zabawieniu. Ot, taki teatrzyk.

A w teatrzyku, wiadomo, wszystko jest na niby. Historyjki i tyle. Sofokles, cosinus, powstanie warszawskie, prawo Ohma, Napoleon, Jan Paweł II, oświecenie, Kopernik, Holocaust - wszystko bez różnicy jak kolejne odcinki kreskówki. A po co? A dlaczego? Co z czym?

Więc wychodzi młodzież z tych szkół jak widz z teatru, z głowami pełnymi opinii "co się podobało, a co nie" i z wielkim zadowoleniem z siebie w roli recenzentów. Bo przecież wszystko jest dla młodzieży i to ona w końcu nas oceni. To jej się podoba, to ją interesuje, a to już nie. Pozbawiano nas, myśli sobie, potroszczono się o nas, o nasze zdrowie, bezpieczeństwo i edukację, a teraz prosimy dać nam dobrze płatną pracę. Co, mam

pracować fizycznie za dwa tysiące? Ja, który tyle lat "przerabiałem materiały", "interesowałem się" i "zdawałem"? Oto i pierwsza lekcja życia po opuszczeniu szkoły.

Inspiracją do trzymania każdego dnia dzieci przez kilka godzin w ławkach były żydowskie chedery. Tam chodziło o religię, lecz rządy nowoczesnych państw narodowych zauważyły w tym okrutnym procederze obiecujący potencjał polityczny. Nuże więc obowiązkiem szkolnym zagarniać ludową dziatwę do szkolnych więzień, by tam ją uobywatelnić, czyli uczyć tego i owego na tyle, żeby kiedyś mogła pracować inteligentniej i przejawiała minimum zainteresowania politycznymi stronnictwami, ze szczególnym uwzględnieniem rządowych.

Amerykańscy kontestatorzy powszechnego kształcenia w amatorskim dokumencie "System edukacji"
(film na YT - <https://youtu.be/ShZtvPSiqAM>)

Masowa edukacja powstała po prawdzie głównie po to, by pod pretekstem nauki umiłowania ojczyzny umacniać więź młodego obywatela z państwem (i jego religią), kładąc mu do głowy stosowne mity, a gdy trzeba, to i podsycając nienawiść do "odwiecznych wrogów". Szkoła była w swej funkcji propagandowej wprost niezastąpiona. Lepsza od Kościoła, gdyż czynna sześć dni w tygodniu. I demokracja niewiele tu zmieniła. Bo nadal rząd płaci, rząd wymaga. Za sanacji imieniny Marszałka, za demokracji, no, sami wiecie z grubsza co.

No dobrze, ale czy to wszystko da się zmienić? Nie bardzo. Dawniej szkoły działały po prostu dlatego, że w dyscyplinarnym społeczeństwie można było biciem i innymi karami wymusić na dzieciach nauczenie się na pamięć sporej liczby tekstów i formułek. Ta sama karność pozwalała na łatwe manipulacje psychiką dziecka i wywoływanie egzaltacji - a to poetyckiej, a to patriotycznej.

Dziś to wszystko przepadło. Z nastaniem demokracji zniknął przymus, a wraz z nim efekty kształcenia i owa mityczna cudowność wierszy i nauczycieli, którzy je dzieciom czytali. Do tego doszedł internet, który w każdej sprawie uświadomi obywatela szybciej, skuteczniej i znacznie kompetentniej niż szkoła. Tym samym zaś szkoła przestała być potrzebna, tak jak przestało być potrzebne przechowywanie informacji na tym dysku, który mamy pod czaszką.

Funkcja szkoły jest dziś prawie wyłącznie społeczna. Jej zadaniem jest organizowanie czasu młodzieży w postaci bardziej czy mniej infantylnych zabaw. Wiele z nich to zabawy w uczenie się do egzaminów (testów) i ich zdawanie. Wiadomo, że ostatecznie wszyscy zdadzą, bo nawet matura przykrojona jest do możliwości osób o inteligencji i zdolnościach daleko niższych od przeciętnych (skoro w założeniu ma ją zdać 80 proc. młodzieży). Do tego są jeszcze zabawy w teatrzyk, w wycieczki i inne wyjścia. Jakość tych szkolnych igraszek zależy

od poziomu nauczycieli i dzieci, a ten zwykle jest niski. Wszystko to razem nieźle ogłupia i glajszachtuje. Tak mniej więcej na miarę okolicznych bloków. Inkubator wielkiego procesu reprodukcji wczesnokonsumpcyjnego społeczeństwa postchłopskiego.

Właśnie odkryło ono, że wszystko jest w zasięgu jego możliwości, lecz jeszcze nie odkryło książek, grubych czasopism, wielogodzinnego siedzenia przy biurku każdego dnia i innych burżuazyjno-inteligenckich rozkoszy. I już nie odkryje! Dlaczego? Bo nie ma już prawie inteligencji, która by dostarczała wzorców kulturalnego życia.

To wszystko nie jest winą szkoły ani państwa. Po prostu czas szkół przemija. Naiwne jest więc przekonanie, że dobry minister razem z dobrym dyrektorem i dobrym nauczycielem naprawią szkolnictwo. Wiem doskonale, że jest wielu dobrych nauczycieli i dobrych dyrektorów. Wiem też, że niewiele z tego wynika. Bo tak jak nie da się nic sensownego zrobić w epoce odrzutowców ze starym dylizansem, tak nie da się nic sensownego zrobić z dziećmi zapędzonymi do klasy na kilka godzin dziennie. Ta formuła już się wyczerpała. Musimy się z tego wycofać.

Mam nadzieję, że w ciągu tego stulecia obowiązkowe szkoły powszechne znikną. Szkoły staną się dobrowolne i zmienią się w instytucje samouczenia się pod kierunkiem nauczycieli pomagających dobierać odpowiednie środki i materiały tym, którzy uczyć się pragną i mają po temu jakieś predyspozycje (a z pewnością nie jest to większość ludzi). Teraz czeka nas jednak długi okres przejściowy. I tylko proszę bez złudzeń.

Kuba Jankowski, twórca programu *Matura to bzdura*: "Zbyt łatwo jest zdać maturę"

(film na YT <https://youtu.be/ZvIYxH628IU>)

Upadek szkolnictwa jest zjawiskiem powszechnym i nieodwracalnym. Nigdy już przeciętny Europejczyk nie będzie wiedział kilkuset tych samych rzeczy co inny przeciętny Europejczyk. Nigdy nic już nie będzie oczywiste. Ktoś się dowie, że był niegdyś zły Hitler, a ktoś inny, że pole kwadratu zbudowanego na przeciwprostokątnej równe jest sumie pól kwadratów przyprostokątnych. Będą się cieszyć tymi odkryciami, lecz nigdy już nie będą się wstydzić, że czegoś nie wiedzą. Zwrot "człowiek wykształcony" będzie należał do niszowego slangu bez znaczenia. Rozproszenie wiedzy i demokratyzacja raz na zawsze zniweczy monopol poznawczy i kulturalny samozwańczych elit. Skończą się kanony inteligenckie i miraże wykształcenia ogólnego razem z jego rzekomym kodem kulturowym.

Ogrom wiedzy i jej uniwersalna dostępność rozsądzą te mentalne struktury. Dawne szerokie horyzonty staną się staroświeckimi przesadami i dysfunkcjami w zakresie korzystania z zasobów sieci. Ale to jeszcze trochę. Tymczasem trzeba to jakoś ładnie dokończyć. Jak powinna wyglądać starość szkoły?

Szkoła zawsze obiecywała dzieciom, że jak będą się dobrze uczyć, to nie będą musiały pracować fizycznie. Wstręt do utrzymywania się z pracy własnych rąk jest kulturowym spadkiem po szlacheckich nierobach i choć szlachty już nie ma, idea "zarobić, ale się nie narobić" wciąż skutecznie zagania młodzież do różnych tam liceów i szkół wyższych. Oczywiście to mrzonka. Jeśli wszyscy skończą studia, to od tego nie zwiększy się jeszcze liczba miejsc pracy typu "zarobić, ale się nie narobić". Trudno, nawet po studiach trzeba zwykle iść do roboty. Szanse na dobre zarobki w białym kołnierzyku mają tak jak zawsze ci, którzy odznaczają się większymi zdolnościami i większą determinacją. Nie zwiększymy liczby tych szczęśliwców, doskonaląc edukację.

Naszym obowiązkiem jest dać szansę na naukę każdemu dziecku, które chce się uczyć i ma po temu zdolności. Wyrównywanie szans edukacyjnych to sprawa honoru. Bez tego nie ma sprawiedliwego społeczeństwa. Ale zmuszanie dzieci leniwych i niezdolnych (a w dodatku jeszcze źle wychowanych) do siedzenia latami w szkole to absurd i udręka dla wszystkich.

Szkoła spętana przez traumy swego pozytywistycznego dzieciństwa uległa chorobliwemu wyobcowaniu. Jako biurokratyczny kosmos może sobie pozwolić na byt samodzielny, oderwany od rzeczywistości.

Pełne nawrócenie na rzeczywistość nie jest możliwe. Możliwe jest jednakże jakieś połowiczne urealnienie programu nauczania. Żeby to osiągnąć, trzeba najpierw zwolnić godziny, czyli wycofać się z uczenia rzeczy, których w wymiarze masowym po prostu ludzi nauczyć się nie da. Odzyskaną połowę godzin należy zaś przeznaczyć na naukę rzeczy naprawdę istotnych dla jakości życia przeciętnego człowieka.

Skoro ważne jest, by umiał myśleć logicznie, to trzeba go uczyć logiki. Skoro ważne jest, by liznął mądrości, to trzeba go uczyć filozofii. Skoro ma być obywatelem, i to praworządnym, to trzeba go uczyć podstaw prawa. Skoro tak strasznie chce żyć sto lat w zdrowiu i ciesząc się z seksu, to trzeba go uczyć elementów medycyny. Skoro chce mieć dużo pieniędzy, niechaj się dowie, skąd się biorą bogactwo i bieda. O tym traktuje ekonomia. Skoro kocha gadżety elektroniczne, to warto by pokazać mu, co też mają one w środku.

Te propozycje są dość oczywiste. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, że brak nauki prawa w szkole jest przemyślanym i usprawiedliwionym wyborem. To po prostu bezmyślność i ignorancja. To samo z logiką czy filozofią.

Odrobina zdrowego rozsądku nie uratuje już szkoły, ale może sprawić, że zamiast robić z dzieci na zmianę nieuków albo "starych maleńkich", szkoła da im jakieś minimum orientacji w świecie i trochę rozwinie ich inteligencję.